

Ina Lorelei

ZOBACZYĆ NEAPOL I...



Powieść kryminalna

© Copyright by Ina Lorelei

ISBN 978-83-928528-4-1

Projekt okładki by autor.

*Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości
lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.*

Rozdz.1. „Who is who” po raz pierwszy

- Halo, słyszysz mnie?
- Jestem. Coś nas rozłączyło, jak wchodziłam na piętro. Wracając do tego, co mówiłaś, wydaje mi się, że przesadzasz. Nic ci nie grozi. Wymyśliłaś to sobie.
- Nic sobie nie wymyśliłam! To wszystko prawda. Groził mi, i to kilka razy. Jest zazdrosny. Ostatnio jest coraz gorzej. Ma pretensje, że go oszukałam, że nie chcę odejść od męża... Opowiadałam ci przecież. Co ja mam zrobić? Tomka boję się jeszcze bardziej.
- Nie chce mi się w to wierzyć! Tomka też się obawiasz? Przecież to taki spokojny facet. Nigdy w to nie uwierzę.
- Spokojny, i co z tego? Tomasz nigdy się nie odgraża. Ale ja wiem, do czego jest zdolny. Potrafi zniszczyć każdego, kto mu się narazi.
- Ale zniszczyć, to nie znaczy zabić.
- Wszystko jedno. Zniszczyć to zniszczyć. Może nasłać zbirów, żeby mnie pobili i zastraszyli. Mogą mnie zabić, oszpecić lub okaleczyć. Co według ciebie lepsze? Życie kaleki czy śmierć?
- Co ty wygadujesz? Przecież Tomek to porządny facet. Przypominam ci, że to twój mąż! Zastanów się, co mówisz.
- Porządny facet? TY TEŻ dałaś się nabrać? Wszystkich was wprowadził w błąd! Ten porządny facet ma takie znajomości, że... nie uwierzyłyabyś. On wiele może.
- Wiadomo, Tomasz jest wpływowym człowiekiem, ale nie jest żadnym mafioso!
- Nie byłabym taka pewna.... Od czasu, jak prowadzi interesy z Włochami...
- Przesadzasz. W takim razie Piotr też powinien mieć konszachty z mafią? Przecież siedzi tam na południu od ponad roku.
- To co innego. Twój mąż to szanowany naukowiec, a Tomasz jest człowiekiem interesu. Lepiej powiedz, czy coś znalazłaś?
- Na razie nic. Tu nic nie ma...
- Nie rezygnuj! TO musi tam być. A gdzie szukałaś?
- Schowek i biurko w jego gabinecie. Może trzyma to w pracy?
- Wykluczone! Takich rzeczy nie trzyma się w pracy. Chyba źle szukałaś!
- Dziwne, że nic nie znalazłam w jego gabinecie.
- Szukaj dalej. Idź do jego sypialni. On tam ma skrytkę, taki sejf. To musi być tam. Opisałam ci, jak go znaleźć. Masz klucz? Pamiętałaś o rękawiczkach?
- Pamiętałam. Poczekaj! Bądź cicho przez chwilę!

– Halo? Słyszysz mnie? Dlaczego się nie odzywasz? Jesteś tam?

– Jestem. Ktoś dzwoni do furtki. Kto to może być?

– Nie żartuj. O tej porze? Rzeczywiście, to dziwne...

– Może Tomasz?

– Niemożliwe. Przecież jest u Stokowskich. Zresztą nie dzwoniłby, tylko sam by sobie otworzył.

– Może to włamywacz?

– Włamywacz? Włamywacze nie dzwonią. Nie odzywaj się, to sobie w końcu pójdzie.

– Dobrze ci mówić, gdy jesteś bezpieczna i nic ci nie grozi!

– Opanuj się! Przecież to nie jest obcy dom.

– Ale to co innego. Stąd nie mogę nawet zadzwonić na policję!

– Włamywacz nie robiłby hałasu, tym bardziej w środku nocy!

– Masz rację, może to nie włamywacz! Ale on widział światło i wie, że ktoś jest w domu.

– No, to co? To chyba lepiej. Jeśli to włamywacz, zorientuje się, że ktoś jest w środku i pójdzie sobie.

– A jeśli to policja? Ktoś zauważył światło i wezwał policję. Co ja im powiem?

– Uspokój się! To nie może być policja. Po prostu zgaś światło i nie otwieraj.

– A jak nie przestaną?

– Jak nie będziesz miała wyjścia, to otworzysz im i porozmawiasz. Przestań panikować!

– A co ja im powiem?

– Prawdę. Ale nie całą. Powiesz, że nocujesz u mnie. Ja potwierdzę. Opanuj się!

– Tak! Powiem, że przenocowałam u Ciebie! Ty to znajdziesz wyjście z każdej sytuacji. Na szczęście przestał dzwonić. Dzięki Bogu!

– Widzisz! Mówiłam ci. On po prostu sprawdzał, czy ktoś jest w domu.

– Uff! Ale ulga! Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ktoś tu wszedł i...

– Nikt obcy nie wejdzie. Najważniejsze, żebyś znalazła TE rzeczy. Zabierzesz je i wyjdiesz, tak jak weszłaś. Nikt cię nie rozpozna.

– Dobrze ci mówić. Trzeba było samej to zrobić. Po co ja się w to pakowałam?

– Przecież wiesz, że sama nie mogę. Właśnie teraz daję nam obu alibi. Kogo miałam prosić o pomoc, jak nie Ciebie? To musi się stać pod moją nieobecność, inaczej będzie mnie podejrzewał.

– I tak będzie cię podejrzewał. Znika kilka cennych rzeczy, a włamywacz nie pozostawia śladu? Od razu pomyśli, że ktoś musiał mieć klucze, albo znać kody. Może trzeba było upozorować włamanie?

– Nie kombinuj, ani niczego nie zmieniaj. Niczego mi nie udowodni. Ani tobie. Dajemy sobie nawzajem alibi. Ty mnie, a ja tobie.

– Bardzo sprytnie! Cicho! Znowu się dobija, tym razem do drzwi. To on! Na pewno ten sam, co dzwonił. Jak się przedostał przez furtkę?

– Nie wiem. Zamknęłaś ją za sobą?

– Oczywiście. To znaczy, zatrasnęłam, jak zwykle.

– Może rozwalił zamek? Albo przeszedł przez płot. Płot nie jest zbyt wysoki.

– Cicho... słyszę, jak coś mamrocze.

– Niedobrze. Widział, że ktoś jest w domu, i nie rezygnuje?

– Boję się... Kto to może być? Co mam robić?

– Opanuj się, kobieto. Może to jakiś zawiany sąsiad. Albo ktoś ze znajomych?

– Czyj znajomy? Chyba nie mój! Co mam robić?

– Zgaś światło. Jeśli dostanie się do domu, ukryj się w garderobie i poczekaj. Tylko musisz TO znaleźć. Masz przed sobą dużo czasu.

– Wcale nie! On cały czas tam jest. Słyszę, że przeklina. Jest pijany. Może pomylił domy? Jeśli jest pijany, mógł się nie zorientować, że się pomylił. Obudzi całą dzielnicę.

– W końcu sobie pójdzie. Zrób tak, jak mówiłam. Słyszysz?

– Dobrze. Pogasiłam światła. Idę schować się do garderoby. Jak tu ciemno! Auuu!

– Halo! Jesteś tam? Halo! Co się tam dzieje?

– Cholera! Przewróciłam się i rozbiłam sobie nos. Komórka wypadła mi z ręki. Ledwo ją znalazłam. Au! Mój nos! Strasznie boli! Mam nadzieję, że nie jest złamany. Cicho!!!

– Co znowu?

– Boże, tu ktoś jest w domu! Słyszę kroki... Wyłączam się. Nie dzwoń teraz do mnie, bo mnie usłyszy! Oddzwonię, jak się to wszystko uspokoi. Wyłączam komórkę i...

*

– ...i co dalej, Frank?

– Nie wiem, panie inspektorze. Może zaczął wołać, żeby mu otworzyć? Albo dobijał się do drzwi? Na tym trawniku jest wiele śladów. Trudno zrobić krok, żeby nie nadepnąć na jeden z nich.

– Sam widzisz. Uważaj, żeby nie nadepnąć, bo jeszcze twój odcisk buta znajdzie się wśród dowodów rzeczowych. Trzymaj się wybrukowanej ścieżki. Ale zastanów się! Jeśli to był włamywacz, po co miałby wołać w środku nocy? Obudziłby całą dzielnicę. Jeśli to był ktoś ze znajomych, mógł dzwonić. Nikt mu nie otwierał, więc przestał i... co zrobił dalej? Jak myślisz?

– Hm... Może zaczął obchodzić dom naokoło, szukając innego wejścia?

– Wreszcie zaczynasz myśleć. Tak mogło być, potwierdzają to liczne ślady znalezione wokół domu. A potem... Co zrobił potem?

Inspektor Tomasz Gawenda w towarzystwie drugiego mężczyzny kręcili się wokół domu, położonego w spokojnej, willowej dzielnicy miasta. Dom był piętrowy, ogrodzony i otoczony niewielkim ogrodem. Od ulicy odgradzały go wysokie krzewy i ogrodzenie z furtką. Ulica była spokojna, jakby wyludniona. Nikt nie zwracał uwagi na stojącego przed posesją ciemnego opla. Może dlatego, że większość mieszkańców wyjechała za miasto? W końcu było niedzielne popołudnie i trwał długi weekend majowy

Ciemny opel należał do inspektora, który miał dziś policyjny dyżur. Dlatego wezwano go i znalazł się tu w towarzystwie swego asystenta o tak nietypowej porze. Inspektor Gawenda niczym nie wyróżniał się spośród innych mężczyzn. Ani wzrostem, ani wyglądem, ani też ubiorem. Był mężczyzną w średnim wieku, średniego wzrostu, średnio tęgim i średnio przystojnym. Towarzyszący mu mężczyzna, nazywany przez niego Frankiem, był od niego nieco wyższy, szczuplejszy i młodszy. Był to aspirant Robert Frankowski, jego prawa ręka i pomocnik do wszystkiego.

– Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Skąd szef wie, że to był ten napastnik? I że był tylko jeden? Może to ta kobieta kręciła się wokół domu?

– No, właśnie, skąd.... Przyjrzyj się dobrze śladom. Czy widzisz tam ślady damskiego obuwia?

– No, nie. Ale z tego nie wynika, czy te ślady należą do jednego, czy więcej niż jednego człowieka. Dla mnie z tych śladów na razie nic nie wynika.

– Dla niektórych nigdy nic nie wynika. Nawet gdyby im podać sprawcę na tacy. Nic nie wynika, a trup jest! – Mówiąc to inspektor zajrzał przez ogrodzenie do sąsiedniego posesji. Frankowski poszedł w jego ślady. – Ja widzę wyraźnie, że te ślady

należą do jednego mężczyzny. Nawet jeśli było ich więcej, to tylko jeden podeptał trawnik i połamał krzaki. I co ty na to?

– Ja tu nic nie widzę, szefie, w tym ogrodzie, co miałyby związek z całą sprawą. Oprócz trawy i żywopłotu.

– Ach! Ty o ogrodzie. Niech ekipa nie zapomni o sprawdzeniu sąsiednich posesji. Niech zbadają, czy tam nie pozostawił przypadkiem śladów.

– Jasne, panie inspektorze. Mówię, że nie wynika, bo na oko, ta denatka wypadła po prostu z balkonu. Nie wiemy jeszcze, czy to był wypadek, czy samobójstwo, czy ktoś jej w tym pomógł.

– Tak źle nie jest. Coś już wiemy, Frank. Chyba coś zakładasz po wstępnych oględzinach miejsca i ciała?

– Ja tam wolę nic z góry nie zakładać, panie inspektorze. Nie mam jeszcze takiego doświadczenia, jak pan.

– Tak, tak, wygodniej jest nic nie zakładać i zasłaniać się brakiem doświadczenia. Ucz się, młody, a nie szukaj usprawiedliwień. – Gderał inspektor, ale uwaga asystenta mile go poleciła.

Z drzwi wejściowych wyłonił się cywil z ciemną walizeczką. Zwrócił się do inspektora:

– W środku już kończymy, Tomku. Zaraz zabieram się za to, co na zewnątrz. Masz już jakiś pogląd na sprawę?

– Nie, nie lubię niczego przesądzać z góry, Hubercie. Ludzie z twojej ekipy mają pracować i analizować dowody obiektywnie. Żadnych sugestii.

– Słusznie. Za to cię lubię!

– Ale... jeśli masz coś ciekawego, to podziel się tą wiedzą. Ustaliliście przyczynę i przebieg? Jakies hipotezy?

– Za wcześnie. Z oględzin wynika, że denatka to kobieta koło trzydziestki. Na pierwszy rzut oka wygląda, jakby wypadła z balkonu z pierwszego piętra, ale nie wiem... Wstępnie mogę stwierdzić, że śmierć nastąpiła koło drugiej nad ranem. Przyczyną były albo obrażenia wewnętrzne wskutek upadku, albo zmarła z upływu krwi. Resztę ustali sekcja, jak również to, czy przed upadkiem z balkonu nie powstały jakieś urazy lub obrażenia.

– Chodzi ci o to, Hubercie, czy ktoś nie pomógł jej wcześniej zejść z tego świata, po czym upozorował wypadek?

– W rzeczy samej. Trochę dziwi mnie, że upadek z takiej wysokości spowodował śmierć. To jest raptem pierwsze piętro. Głową uderzyła w granitowe głązy. Nie wykluczam, że to mogło być przyczyną zgonu. Natomiast twarz jest o wiele bardziej zmasakrowana, niż powinna przez uderzenie o kamienną krawędź. To mnie niepokoi.

– Też mam takie obawy. Poza tym dziwi mnie samo wypadnięcie. Z tego balkonu nie da się tak po prostu wypaść przez nieuwagę. Balustrada jest betonowa, szeroka. Widziałeś sam jak byliśmy na górze. Żeby stamtąd spaść, trzeba by na nią wejść i rzucić się przez nią. Chyba, że denatka była pod wpływem alkoholu. Wtedy mogła na niej na przykład usiąść, a potem stracić równowagę i orientację. Sam nie wiem, jak wytłumaczyć ten upadek.

– Tego na razie nie wiemy. Ale jeśliby spadła przypadkowo, ciało byłoby inaczej ułożone. Leżałoby na boku, a nie idealnie twarzą w dół. Tak jakby się rzuciła do przodu, chcąc upaść na twarz. Kto rzuca się z balkonu pierwszego piętra na trawnik, żeby popełnić samobójstwo? I to jeszcze tak, by precyzyjnie trafić w stertę głązów!

– Mnie też to nie daje spokoju. Widziałeś o wiele więcej takich przypadków niż ja, Hubercie. Powiedz, czy ktoś tak popełnia samobójstwo?

– W rzeczy samej. Samobójcy działają inaczej. Nie podoba mi się ułożenie ciała. Wygląda to tak, jakby ją ktoś upozował po upadku, twarzą w dół. Sama się chyba tak nie ułożyła?

– Może ona próbowała komuś grozić samobójstwem? Udawała, że chce skoczyć, wypadła i upadła tak nieszczęśliwie, że... No, wiesz, co mam na myśli. To byłoby bardziej prawdopodobne. Tylko dlaczego ten ktoś, komu urządziła takie przedstawienie, nie zgłosił wypadku na pogotowie lub policję? Dziwne.

– Masz zupełną rację, Tomku. Zostawmy to na razie, resztę wyjaśni sekcja.

– Oby! Zostawiam cię z tym całym kramem. Idziemy do naszego pana domu.

Ostatnie słowa były już przeznaczone dla asystenta, który przysłuchiwał się całej rozmowie. Obaj skierowali się do środka, gdzie w salonie znaleźli siedzącego na kanapie mężczyznę. Wysoki szatyn, koło czterdziestki, dość postawny i zadbany. Tylko cienie pod oczami wskazywały na nieprzespaną noc. Ubrany był w szlafrok, a w ręku trzymał szklankę z wodą. Przyglądał się kręcącym się wokół ludziom z nieobecnym wyrazem twarzy.

– Pan Tomasz Meyer?

Przypadkowo gospodarz nosił takie samo imię jak inspektor. Mężczyzna spojrzał na inspektora nieprzytomnym wzrokiem i przytaknął.

– Inspektor Gawenda, a to mój asystent Robert Frankowski. Wie pan, po co tu jesteśmy. Czy może pan odpowiedzieć na kilka pytań?

– Wiem. Mogę. – Gospodarz patrzył na nich szklanym wzrokiem i odpowiadał jak automat. – O co chodzi, inspektorze? Co tu się stało?

– To my chcielibyśmy dowiedzieć się od pana, co tu się stało.

– Ale ja nic nie wiem. Spałem trochę dłużej, bo... wczoraj troszkę później wróciłem z klubu. Wstałem koło południa, gdy nagle, koło godziny... chyba pierwszej, zrobił się jakiś szum. Potem niedługo pojawiliście się wy. Nic więcej nie wiem.

– I nic pan przedtem nie słyszał i nie widział?

– Nic.

– O której godzinie wrócił pan do domu? Czy wrócił pan sam?

– Jak najbardziej sam. O której? Hm... o pierwszej albo o drugiej. A może jeszcze później? Nie pamiętam. Nie sprawdzałem, która była godzina.

– Czy mieszka pan sam?

– Nie, z żoną. Ale żony nie ma. Wyjechała.

– Wyjechała? Kiedy? Na jak długo?

– Wczoraj... to znaczy przedwczoraj, w piątek. Pojechała do rodziny.

– A pan został sam?

– Tak. Co w tym dziwnego? Wyjechała do rodziny, a ja nie mieszkam w jej sprawie rodzinne. Miała tam zostać kilka dni, w zależności od sytuacji.

– Wobec tego był pan sam w domu ostatniej nocy?

– Tak.

– I nic pan nie widział ani słyszał po powrocie?

– Przecież mówiłem! Wróciłem, usiadłem w salonie na kanapie i zasnąłem. Nic nie widziałem, ani nie słyszałem. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, o co chodzi? Co się tu dzieje?

– Więc nie wie pan, co, a raczej kogo znaleziono w ogrodzie pod pana domem dziś przed południem?

– Znaleziono? Nie wiem. Słyszałem jak wasi ludzie mówili coś o kobiecie w ogrodzie. Podobno spadła z balkonu. Ale przecież to nie może chodzić o mój ogród i mój balkon?

– Ależ oczywiście, że o pański. Inaczej nie robilibyśmy panu najścia. Nie pofatygował się pan zobaczyć?

– Pańscy ludzie posadzili mnie tu na tej kanapie i zakazali opuszczać salon. Więc się nie ruszałem. Poza tym słaby jestem po wczorajszym ...

– Aha, no tak. Wobec tego nie widział pan tej kobiety w ogrodzie przed naszym przyjazdem?

– Oczywiście, że nie. O sprawie dowiedziałem się dopiero, gdy was wpuściłem do domu. Chce pan powiedzieć, że to u mnie znaleziono tę martwą kobietę? Jak to możliwe?

– Mamy nadzieję dowiedzieć się tego od pana. W co był pan ubrany w nocy?

– Ubrany??? Normalnie. W koszulę i marynarkę, i jeszcze płaszcz.

– Co się z nim stało? Czy może pan te wszystkie rzeczy nam przekazać?

– Dlaczego? Czy muszę?

– Oczywiście, to są dowody. Inaczej sami je znajdziemy.

– Przecież to głupota! To nie są żadne dowody.

– To już my ocenimy, jeśli nam pan pokaże.

Meyer patrzył na inspektora baranym wzrokiem w milczeniu. Sprawiał wrażenie autentycznie zdziwionego. Domyślał się, że chodziło o ewentualne ślady krwi, lub inne, które mogły pozostać na ubraniu. Mogły go pograć, lub oczyścić z podejrzeń. W końcu doszedł do wniosku, że nic nie wskóra (lub rzeczywiście nie czuł się winny), bo wstał nagle i rzucił się w kierunku przedpokoju.

– Spałem w ubraniu. Dopiero rano zdjąłem je i wrzuciłem do brudów. Poza tym, że płaszcz był ubłocony, nie zauważyłem żadnych śladów. Proszę, tu jest płaszcz. – Tu Meyer zdjął granatowy płaszcz z garderoby w przedpokoju. Po czym udał się do łazienki, a gdy wyszedł, miał w ręku zmięte spodnie i koszulę. W jego głosie brzmiała ulga. – Proszę. Ja tu nie widzę żadnych śladów krwi. Bo chyba o to wam chodziło, panowie?

– Poniekąd. Tym lepiej dla pana. Czy możemy te rzeczy zatrzymać do analizy?

Meyer przytaknął, a inspektor kontynuował:

– Mógłby pan się teraz zmobilizować i pójść z nami do ogrodu? Żeby zidentyfikować ciało.

– Zidentyfikować... ciało? Ale dlaczego ja?

– Z prostej przyczyny, że znaleziono je w pańskim ogrodzie.

– Ale ja jej nie znam!

– Skąd pan wie? Właśnie to chcemy sprawdzić!

– Ale co ja mam z tym wspólnego?

– To spróbujemy ustalić. No, to jak? Pofatyguje się pan z nami? – Tu inspektor wskazał szerokie drzwi prowadzące na taras.

– Jeśli muszę...

Olbrzymi salon dzielił się na dwie części, wewnętrzną jadalną i – wypoczynkową, która wychodziła na taras i ogród. Zanim wyszli na taras, inspektor zatrzymał się na chwilę w salonie. Stanął przed drzwiami prowadzącymi na taras i wyjrzał na ogród. Upewniał się w ten sposób, czy ktoś będąc w salonie, mógł zauważyć leżące w ogrodzie ciało. Jak się okazało, widać było dalszą część ogrodu. Natomiast ciało było niewidoczne – znajdowało się zbyt blisko tarasu, który leżał około metra powyżej poziomu ogrodu i dlatego zasłaniał widok. Gospodarz nie kłamał.

Żeby zobaczyć leżący kształt, trzeba było wyjść na zewnątrz, co też zrobili. Taras był prostokątny i miał mniej więcej trzy na sześć metrów. Kończył się kilkoma szerokimi stopniami, prowadzącymi w głąb ogrodu. Oślonięty był balkonem tej samej wielkości. Balkon ten można by równie dobrze nazwać górnym tarasem. I górny, i dolny taras otaczała szeroka, kamienna balustrada. To z górnego tarasu wypadła ofiara, uderzając o kamienne głązy, okalające skalniak z krzakami róż. Po prawej stronie taras przechodził w rozległy murowany grill z kamiennymi ławeczkami. Ciało leżało zaś po stronie lewej, gdzie znajdował się ów skalniak. Zobaczyli je dopiero, gdy wyszli na zewnątrz. Leżało przykryte, częściowo na żwirowej drodze, głową dotykając głązów.

Najpierw trzeba było zejść po stopniach na ową żwirową dróżkę. Skierowali się do ciała, a inspektor uniósł okrywającą je płachtę, tak że można było zobaczyć głowę kobiety spoczywającą na głązach. Tonęła wśród połamanych łodyg i liści różanego krzewu. Na pierwszy rzut oka widać było, że to kobieta, choć twarz była przysłonięta długimi, ciemnymi włosami. Lewą stroną musiała uderzyć o głązy – obok głowy można było dostrzec rozległą czerwono-brunatną plamę. Trudno było rozpoznać rysy twarzy pod kosmykami włosów. Prawa ręka kobiety spoczywała przy głowie. Widać było długie, pomalowane paznokcie i złoty pierścionek z przejrzystym kamieniem, na pierwszy rzut oka dużej wartości.

– Czy potrafi pan rozpoznać tę kobietę?

– Nie. Przecież... nie widać twarzy... tu jest pełno krwi.

– Proszę się przyjrzeć dokładnie.

Tu inspektor odsunął płachtę całkowicie. Czy to za sprawą lekkiego podmuchu wiatru, czy przez ruch podnoszonej płachty, włosy poruszyły się i odsłoniły więcej twarzy. Oko i usta miała wpółotwarte. W uchu miała złoty, długi kolczyk. Frankowi przez chwilę wydawało się, że leżąca poruszyła się i westchnęła. Przysunął się bliżej, żeby się upewnić. Poczuł delikatny zapach perfum, co jeszcze spotęgowało wrażenie, że ofiara

żyje. Na wszelki wypadek dotknął prawej dłoni. Była zimna jak lód. Dla całkowitej pewności przytknął palce do jej szyi, tam gdzie sprawdza się tętno. Nic. Szkoda. Przez chwilę łudził się, że lekarz sądowy pomylił się, a leżąca kobieta wstanie i wyjaśni to całe nieporozumienie.

Gdy inspektor uniósł płachtę, można było zobaczyć całą postać. Była szczupła, ale z powodu ułożenia ciała trudno było określić wzrost. Ubrana była w ciemnofioletową, błyszczącą kurteczkę i džinsy. O dziwo, ofiara była bosa, bez butów na nogach! Upadła na lewą stronę, a lewa ręka spoczywała wzdłuż ciała, dziwnie przekręcona wewnętrzną stroną dłoni do góry. Gawenda zwrócił się do Meyera.

– Proszę zwrócić uwagę na ubranie i biżuterię. Widać kolczyk i pierścionelek. Może te detale coś panu przypominają?

Tomasz Meyer pobladł gwałtownie i zachwiał się na nogach. Na szczęście czujny Frank przytrzymał go za ramię i uchronił przed upadkiem.

– No i jak?

– Ten pierścionelek... To ona. Rozpoznaję... – Wykaszuszył ledwo dosłyszalnie i głos utknął mu w gardle.

– Tak? – Prawie że ucieszył się inspektor. – Więc kto to jest, panie Meyer?

– Sam nie wiem. Przecież to niemożliwe... Niedobrze mi.

– Jeszcze tylko chwileczkę. Proszę tylko powiedzieć, czy potrafi pan rozpoznać tę kobietę?

– Sądząc po... włosach, biżuterii, ubraniu... ta kurtka... To jest Liza!

– Ach tak? Gdyby nam pan jeszcze wyjaśnił, kto to jest Liza? Kim jest, a raczej była dla pana?

– Liza? – Meyer spojrział nieprzytomnie na inspektora. – Jak to – kim? Liza to moja żona!

Rozdz.2. Starsza pani, która zobaczyła ducha

Na takie *dictum* inspektor zamilkł. Ale nie dane im było kontynuować rozmowę, bowiem z wnętrza domu dobiegały niewyraźne krzyki. Z nich wyodrębnił się głos jednego z policjantów. Głos przybliżał się do stojących w ogrodzie. Teraz dało się odróżnić słowa. Policjant wołał:

– Panie inspektorze, gdzie jesteście? Panie inspektorze!

– Tutaj, w ogrodzie. O co chodzi, sierżancie?

– Panie inspektorze, proszę przyjść do nas. Przyszła jakaś kobieta i próbuje się tu dostać za wszelką cenę. Mówi, że jest sąsiadką i że widziała mordercę. Żąda rozmowy z panem. Nie możemy jej dać rady. Ona jest bardzo agresywna.

– Dobrze, sierżancie, już idę.

Inspektor zrobił w tył zwrot i ruszył przez taras do salonu. Reszta, nie wiedząc, co począć, podreptała za nim.

W hallu przestępowała z nogi na nogę starsza, siwowłosa kobieta. Pilnujący funkcjonariusze blokowali jej drogę, więc kręciła się pomiędzy nimi, próbując się wepchnąć i zajrzeć, co dzieje się w środku. Raz po raz wychylała głowę, przy tym cały czas gadała, a właściwie skrzeczała. Jej nieprzyjemny głos donosił aż do salonu i to on sprawiał wrażenie nieprzerwanego jazgotu.

– Mówię wam, panowie milicjanci, że wszystko widziałam. Dlaczego nie chcecie mnie wpuścić? Tacy młodzi, a tacy nieuczynni! Ja wszystko widziałam. Dlaczego nie zawołacie tego waszego komendanta? Wszystko mu opowiem. No, nareszcie idzie komendant! To pan tu rządzi? Panie komendancie...

– O co chodzi, droga pani? Nie jestem komendantem. Inspektor Gawenda. Prowadzę dochodzenie. Kim pani jest?

– Ja widziałam mordercę. Wszystko panu opowiem. Czy mogę wejść?

– Niestety, nie, droga pani. Najpierw proszę się przedstawić. Kim pani jest?

– Jestem sąsiadką państwa Meyer. Panie kochany! To się musiało tak skończyć! Ona była...

– Jak pani się nazywa?

– Pani się nazywa? Aha, że niby ja? Flisakowa. Adela Flisak. Mieszkam tu pod dziesiątką. Panie... – Zatrzymała się na chwilę, nie wiedząc, jak tytułować inspektora, po czym jej potok wymowy płynął dalej nieprzerwanie. – Panie! To się musiało źle skończyć. Kto ich dobrze znał, nie będzie zdziwiony. Ona, panie...

– Pani Adelo, chwileczkę. Powiedziała pani, że widziała mordercę. Skąd u pani przypuszczenie, że tu doszło do morderstwa?

– Panie... komendancie...

– Inspektorze. – Odpowiedział Frank, który w międzyczasie wszedł do hallu.

– ...inspektorze. A co innego to mogło być, skoro jest trup? To JA go znalazłam. Tego trupa, nie mordercę, broń Boże! To znaczy JA znalazłam. A mordercę widziałam! Ja wszystko panu opowiem.

– Droga pani, bardzo się cieszymy, że chce pani pomóc policji. Na razie nie wiemy, czy to było morderstwo, czy nieszczęśliwy wypadek. Dlaczego pani twierdzi, że to było morderstwo?

– Bo ja go widziałam! Jak się skradął w nocy. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że to morderca. Dopiero rano, gdy zauważyłam jej ciało, wszystko zrozumiałam.

– Droga pani – inspektor stanowczo przerwał ten potok wymowy – jeśli chce pani zeznawać, proszę wrócić do domu i poczekać na nas. Dobrze? Nie, nie teraz. Proszę podać sierżantowi dane i zostawić swój adres. Przyjdziemy zaraz, jak skończymy tutaj. Proszę wracać do siebie. To potrwa dosłownie chwilę.

Tu inspektor zręcznie obrócił starszą panią w kierunku sierżanta. Wręcz wypchnął ją w jego ramiona z salonu, do którego próbowała się dostać. Po czym obrócił się, wszedł do salonu i kazał Frankowi zamknąć za sobą drzwi do przedpokoju.

– Panie Tomaszu, rozumiemy, że to dla pana wstrząs. Zostawimy pana teraz. Na dzisiaj wystarczy panu wrażeń. Przyjdziemy jutro, żeby porozmawiać. Dobrze?

– Dobrze. – Powiedział Meyer zrezygnowanym głosem. – Jak to się mogło stać?

– Nie wiemy, co było przyczyną śmierci. Dopiero sekcja to ustali. Czy według pana to był wypadek, czy raczej samobójstwo?

– Samobójstwo? Eliza nigdy nie popełniłaby samobójstwa. To do niej niepodobne. Raczej wypadek, ale nie mam pojęcia, jak to się mogło stać. Dlaczego ona się tam znalazła?

– Jeszcze jedna ważna sprawa. Czy państwo macie gosposię? Pomoc domową, czy kogoś takiego? Czy ktoś przychodzi tu sprzątać?

– Owszem mamy gosposię, która gotuje, sprząta i robi zakupy. Ale nie ma zbyt wiele pracy, bo dużo czasu spędzamy poza domem. Jemy często na mieście.

– A jak często przychodzi?

– Pani Rawicka przychodzi co drugi dzień. Jeśli jest potrzeba, to częściej. Mam na myśli dni robocze. Gdy mamy gości, przychodzi nawet w święta.

– Chodzi o to, żeby nie sprzątała domu do odwołania. Szczególnie na piętrze. Czy pan rozumie?

– Rozumiem, tylko, że... mam żyć w... tym bałaganie? Jak długo?

– Niech pan nie przesadza. To kwestia kilku dni. We wtorek ekipa dokończy oględziny i wszystko udostępniemy. Wie pan, że mamy długi weekend. Musi pan wytrzymać do wtorku. Proszę jeszcze podać nazwisko i adres tej gosposi.

– Czy musicie ją niepokoić? To osoba starej daty, która wszystko bardzo przeżywa. Boję się, że odejdzie, jeśli będziecie ją nachodzić.

– Jeśli chce pan tego uniknąć, to proszę nam powiedzieć, kiedy będzie u pana. Przyjdziemy, porozmawiamy, bez żadnego wzywania na komendę. Jak pan woli.

– Pani Rawicka będzie we wtorek, potem w czwartek.

– Zadzwonimy i uzgodnimy termin. Proszę ją uprzedzić.

Wykorzystali resztę niedzielnego popołudnia na zebranie jak największej ilości informacji. Koło godziny piątej ekipa zabezpieczająca miejsce i dowody zakończyła pracę. Ale zanim ekipa skończyła, inspektor ze swoim pomocnikiem wylądowali u pani Adeli Flisak.

Dom pani Adeli sąsiadował z domem państwa Meyerów, ale był nieco mniejszy. Obydwa domy były wolnostojące i otoczone ogrodem. Dom pani Flisakowej był ulokowany bardzo blisko domu Meyerów, w przeciwieństwie do drugiej posesji. Tam dom stał głęboko schowany wśród drzew i był ledwie widoczny zarówno od ulicy, jak i od strony sąsiadów. Jego mieszkańcy prawdopodobnie niczego nie mogliby dojrzeć w ogrodzie Meyerów. Dlatego prawdą mogło być, że pani Adela coś widziała. Tylko co?

Gospodyni posadziła ich na narożnej kanapie w pokoju dziennym. Po przywitaniu inspektor od razu przejął inicjatywę, by nie dopuścić do niekontrolowanego monologu gospodyni.

– Zadam pani kilka pytań. Czy pani mieszka sama? Czy tej nocy była pani sama, czy ktoś jeszcze był w domu?

– Broń mnie panie Boże! Kto by tu u mnie mógł być!? Jeszcze po nocy! Teraz mieszkam sama, panie... inspektorze. – Pani Adela przypomniła sobie, jak należy go tytułować. – W ubiegłym roku moje dzieci, to znaczy mój syn z żoną wyjechali za granicę do pracy. Ja im tu dobytku pilnuję. Mój Boże! Oby oni tylko tam nie zostali! Oby wrócili, tak, jak zapowiadają...

– Pani Adelo, do rzeczy. Czy ktoś u pani był wczorajszej nocy?

– Do rzeczy. Oczywiście, że byłam sama. Kto by tu mógłby być w nocy? To znaczy, wieczorem była u mnie przyjaciółka, ale w nocy byłam sama. Tak jak zawsze.

– Twierdzi pani, że coś widziała.

– Nie – coś, tylko mordercę. Ja często nie mogę spać. Mam taki lekki sen. A ten to już tak się tłukł po nocy, że umarłego by obudził.

– Zaraz, zaraz. O której to było?

– O której to było? – Pani Adela miała denerwujący zwyczaj powtarzania kwestii swego rozmówcy. – To było koło drugiej. Ja już mówiłam, że mam bardzo czujny sen. Moja sypialnia jest od frontu, więc w nocy budzą mnie samochody przejeżdżające ulicą. Ja wołałabym spać w tej drugiej, ale to sypialnia moich dzieci. Może nawet lepiej, że wiem, co się dzieje na ulicy?

– Pani Adelo, do rzeczy.

– Do rzeczy. Ten mnie też obudził, bo przyjechał taksówką. Słyszałam jak jedzie i zatrzymuje się. Ale ta taksówka zatrzymała się trochę za daleko, więc on musiał przejść kawałek, zanim dotarł do furtki. Długo trwało zanim wysiadł i dotarł do furtki. Taksówka zatrzymała się chyba pod szóstką, nie wiem, czy mówiłam. Szedł i coś gadał, chyba do siebie. W nocy wszystko słychać. A gdy stanął pod furtką, nic, tylko zaczął się dobijać.

– To znaczy – co? Dzwonił? Wołał coś?

– Dzwonił, walił, myślał, że furtka ustąpi. Potem ucichło, widocznie próbował wbić kod, albo szukał kluczy. Coś tam mamrotał, chyba był zły i wołał, żeby mu otworzyć.

– Mówiła pani, że go widziała. Co pani widziała? Czy rozpoznała pani tego człowieka?

– Widziałam! Wszystko widziałam, panie inspektorze. Z mojej sypialni dobrze widać front posesji Meyerów. Nie widać, jak ktoś stoi przy furtce od strony ulicy, bo zasłania ją taki duży krzew. Ale widziałam, jak podchodził do furtki. Musiał być bardzo pijany, bo zatoczył się tak, że prawie się przewrócił. Potem już go nie widziałam, bo zasłonił go ten krzew. Tylko słyszałam.

– Ale czy widziała go pani po wejściu do ogrodu i pod domem?

– Widziałam, jak już był w ogrodzie, ale potem gdzieś się zgubił. Może chodził wokół domu. Ale jak on wszedł przez tę zamkniętą furtkę, to ja nie wiem, panie inspektorze.

– Potrafi go pani opisać?

– Opisać? Oczywiście. Na ulicy jest jasno, świecą latarnie. Był taki... ciemny, szarobury, że mało co było widać.

– No, ale... był wysoki, czy niski? Stary czy młody? Jak był ubrany?

– Po kolei, nie wszystko naraz. No, mówiłam już, taki ani za wysoki, ani niski. Czy to widać w nocy, czy ktoś jest stary czy młody? Taki był ciemny, szarobury. Miał spodnie i... płaszcz, i... nic więcej.

– Jak to – nic więcej? Nie miał butów?

– Musiał mieć. Jak można chodzić bez butów? Tylko nie wiem, co miał pod płaszczem. Po ciemku nie widać, czy był stary, czy młody. Nie wiem, czy już mówiłam?

– Mówiła pani. Miał jakieś nakrycie głowy? Niósł coś w rękę? Teczke lub coś innego?

– Nie, kapelusz bym zauważyła. Nic nie miał w rękach.

– Był łysy, czy miał włosy? Ciemne, czy jasne? Długie, czy krótkie?

– Jezu kochany! W nocy wszystkie koty są czarne. W świetle latarni nie widać dobrze. Łysy na pewno nie był, bo głowa mu się nie świeciła. Włosy miał raczej takie ciemne, długie – nie... takie normalne.

– Był szczupły, czy raczej tęgi?

– Mój Boże! Czy to widać, jak ktoś ma na sobie płaszcz?

– Ale jednak, niech się pani zastanowi.

– No... gruby raczej nie był, więc chyba chudy?

– A czy rozpoznała go pani?

– Czy rozpoznałam go? Oczywiście. To był mężczyzna. Już mówiłam, że raczej wysoki. Z wysoka nie było widać dokładnie twarzy.

Starsza pani była przekonana, że widziała mordercę. Tak naprawdę niewiele widziała i nie potrafiłaby go rozpoznać. Cierpliwość inspektora kończyła się. Spoglądali po sobie z Frankiem. Ich porozumiewawcze spojrzenia wyrażały to samo – zniecierpliwienie. „Popracujmy nad nią jeszcze. Może jednak uda się wyłowić jakąś cenną informację”.

– A może ten człowiek pomylił domy? Postął pod furtką, podobijał się i w końcu odszedł? Nie widziała pani, żeby odchodził?

– Chyba odszedł na chwilę, bo potem wrócił. Potem jakoś przeszedł tę furtkę, bo widziałam, jak kręcił się wokół domu. Długo to trwało. A potem zniknął. Pewno dostał się do środka.

– Wszedł do domu?

– Tak. Chociaż nie widziałam, jak. Czy przez drzwi, czy przez taras. Może wybił okno?

– A potem coś jeszcze pani widziała? Sam wypadek?

– Wypadek? Przecież mówiłam, że to było morderstwo. Czekalam dość długo przy oknie, obserwując dom. Niestety, nic się nie działo.

– Równie dobrze mógł to być włamywacz. Czy w domu paliły się światła?

– Nie, było ciemno. To znaczy zapaliły się tylko od frontu. Ale z mojej strony nie widać wszystkich okien.

– Czy potem poszła pani od razu spać?

– Tak mnie więcej po pół godzinie.

– A nie przyszło pani do głowy, że tym osobnikiem, który w środku nocy dobijał się do domu mógł być właściciel, pan Meyer?

– Co pan powie? Myśli pan, że to mógł być sam pan Tomasz?

– Dziwi mnie, że pani o tym nie pomyślała. Przecież opisany przez panią włamywacz (inspektor specjalnie zaakcentował słowo „włamywacz”) trochę przypominał pana Meyera.

– Nie, nie pomyślałam. Dopiero teraz, gdy pan mi to mówi. Wczoraj rano widziałam samochód pana Tomasza i wydawało mi się, że wyjechał na weekend.

– Skoro wydawało się pani, że to ktoś obcy próbuje dostać się do ich domu, dlaczego pani nie zadzwoniła w nocy na policję?

– Wie pan, ja nawet pomyślałam, żeby zadzwonić. Ale nie miałam pewności, czy on się rzeczywiście dostał do środka. Potem doszłam do wniosku, że to mógł być kochanek pani Elizy. No, to nie dzwoniłam.

– Kochanek pani Elizy? Czy pani Meyer miała kochanka?

– Czy ja wiem? Różnie mówili. Że to był przyjaciel jej i jej męża. Ale ja tam swoje wiem. Co to za przyjaciel, co przychodzi, jak mąż jest w pracy? Z panem Tomaszem nieraz tak się kłócili, że u mnie było słychać. Sama wyjeżdżała na wakacje. Czy to w porządku tak wyjeżdżać bez męża? Czasami pod nieobecność pana Tomasza przychodzili jacyś znajomi. Mężczyźni. To ja się pytam, po co?

– A jak pani wpadła na to, że widziany przez panią w nocy człowiek jest mordercą?

– Jak ja wpadłam? A nie jest? Przecież to ja zauważyłam dziś w ogrodzie jej ciało. Wczoraj włamywacz próbował się dostać do środka, a dziś w ogrodzie leży trup. Jeśli się połączy te dwa fakty, to wnioski są oczywiste, prawda? Dwa dodać dwa równa się cztery. To wiem nawet ja, prosta kobieta. Jest trup, to musi być morderca.

– Ale nie widziała pani, jak to się stało, prawda? Czy wie pani, kim może być ta martwa kobieta?

– Pan sobie żartuje? Przecież ja ją poznałam od razu! To pani Meyer!

Tu, o dziwo, pani Adela zamilkła. Wpatrywała się w inspektora trochę pytająco, trochę wyzywająco, czy odważy się zaprzeczyć. Gawenda nie miał zamiaru zaprzeczać. Zapytał tylko:

– Jak pani mogła ją rozpoznać z takiej odległości?

– Przecież widziałam ją, jak pana teraz widzę. Chodźmy na piętro. Sam pan zobaczy. Stamtąd widać doskonale wszystko!

Pani Adela wstała i energicznie podreptała schodami na piętro, a obydwaj panowie za nią. Na prawo od schodów znajdowały się dwa pokoje. Otworzyła drzwi jednego z nich i wprowadziła ich do środka. Podeszła do okna i odsłoniła firankę.

– Widzicie panowie, tu od ulicy jest moja sypialnia. Stąd widać drzwi wejściowe do Meyerów. Jedynie furtka jest zasłonięta przez ten wysoki krzew. Ale dróżkę od furtki do domu już widać. A teraz proszę za mną do drugiej sypialni. To sypialnia młodych i ja tam rzadko wchodzę. Inaczej zobaczyłabym ją zaraz rano.

Opuścili pokój i poszli do następnych drzwi. Druga sypialnia była większa i wydawała się bardziej zaciszna. Tam pani Adela wyprowadziła ich na balkon. Rzeczywiście było stąd widać taras i ogród państwa Meyerów. Nie było pełnego wglądu w to, co działo się na tarasie dolnym, bowiem zasłaniał go taras górny, nazywany balkonem. Za to miejsce, gdzie leżało ciało było widoczne z tego punktu jak na dłoni. Ciała jeszcze nie zabrano. Wciąż widać było leżący kształt nakryty płachtą.

– I co? Czy ja kłamię? Wszystko widać jak na dłoni.

– Nikt nie zarzuca pani kłamstwa, pani Adelo. Ale niepokoi mnie jedno. Ta kobieta leży odwrócona plecami. Jak to możliwe, że pani rozpoznała w niej panią Meyer?

– Panie inspektorze, przecież znajomego można rozpoznać, nawet jeśli jest odwrócony tyłem, prawda? – W głosie pani Adeli nie było żadnego wahania. – Więc dlaczego się pan dziwi, że ją rozpoznałam, gdy zobaczyłam leżącą w ogrodzie? Zresztą ubrana była w te swoją kurtkę.

– Mnie już nic nie dziwi. O której godzinie zauważyła pani leżące ciało?

– Wstyd się przyznać, panowie, ale ja zasnęłam przez to nocne dobijanie się. Zawsze w niedzielę chodzę do kościoła na ósmą. A tu, obudziłam się po dziesiątej! Wpadłam w popłoch, że tam pewno ksiądz w głowę zachodzi, czemu mnie nie ma. Ale, nic, mówię sobie, pójdę na sumę. Szybko się ubrałam i już, już miałam wychodzić, gdy coś mnie podkusiło. Mówię sobie, a spojrzę jeszcze przed wyjściem, co tam się dzieje u sąsiadów po tej niespokojnej nocy. Wyjrzałam z mojej sypialni. To tam gdzie widać furtkę

i wejście. Nic. No, to poszłam do sypialni z balkonem. I co widzę? Ktoś leży pod ich tarasem. Pierwsza myśl była, że to ten pijak, co się w nocy dobijał. Dostał się do domu, a potem po pijaku upadł i zasnął. Żeby się przyjrzeć dokładnie, wyszłam na balkon. Ludzie! Jak ja to zobaczyłam, od razu wiedziałam, że to nie może być żaden pijak. To była pani Eliza! Tę kurtkę poznałabym na końcu świata. Ostatnio ciągle się w niej obnosiła. Szkoda jej, chociaż pomyślałam od razu, że źle skończyła, tak jak żyła. W kościele to jej nigdy nie widziałam. Za to z różnymi mężczyznami się włóczyła. To się kiedyś musiało tak skończyć!

– Do rzeczy, pani Flisakowa. O której to było? – Inspektor przerwał jej potok wymowy. – Czy od razu zawiadomiła pani policję?

– Policję? Oczywiście, że od razu. Tylko zeszłam na dół do telefonu. Która to mogła być? Musiało być po jedenastej, jak się zbierałam na sumę. Z tego wszystkiego, nie zdążyłam do kościoła!

– Na koniec, czy ma pani jeszcze coś do powiedzenia? Coś, co może mieć znaczenie?

Starsza pani spojrzała na nich karcącym wzrokiem.

– Oczywiście, że mam. To jeszcze nie wszystko. Jest jeszcze jedna ważna rzecz, o którą nie pytaliście. – Tu znowu spojrzała karcąco, i zarazem tryumfalnie.

– Tak? Proszę mówić.

– JA też widziałam! To musiała być ręka boska. Inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

– Ręka boska? Kogo pani widziała?

– Jak to – kogo? Panią Elizę! Jak wracała do domu. Mówiłam już, że mam czujny sen. Tej nocy jeszcze dwa razy wstawałam. Ręka boska to była! Zdawało mi się, że słyszę samochód i podeszłam do okna. A ona akurat wracała do domu.

– Czy jest pani pewna, że to była ona? Wróciła po tym, jak pani widziała tego człowieka?

– Przecież potrafię odróżnić kobietę od mężczyzny! Tę jej kurtkę poznałabym na końcu świata. Gdybym ja wiedziała, że ten morderca tam na nią czeka...

– Jaką kurtkę?

– No, tę co miała na sobie, jak leżała pod balkonem. Co się tak w niej obnosiła się tej wiosny! Taka fioletowa, błyszcząca.

– Ta sama kurtka, w której znaleziono ją pod balkonem?

– No przecież mówię, że ta sama!

- Była sama? Co jeszcze pani widziała?
- Widziałam, jak stała pod drzwiami i potem zniknęła. Widocznie weszła do domu. Sama była. Czekałam, ale nic więcej się nie wydarzyło, więc poszłam spać. Wtedy nie wiedziałam, że tam czeka na nią morderca. Naprawdę, gdybym to wiedziała, jak nic zadzwoniłabym na policję.
- Morderca już na nią czekał? Więc to było potem, jak pani zauważyła tego mężczyznę?
- No, przecież mówię, że potem.
- Która mogła być godzina?
- Było pół do czwartej.
- Skąd pani pamięta czas z taką dokładnością?
- Przecież mam zegar w sypialni!
- Czy pani zegar dobrze chodzi?
- No wie pan! Mój zegar jest bardzo punktualny.
- Może się pani pomyliła? Może było pół do drugiej?
- Przecież znam się na zegarze! Panie komisarzu! – Powiedziała z wyrzutem.
- I nie zdziwiła się pani, że pani Meyer wraca tak późno do domu?
- Skądże! Ona czasami wracała z podróży, albo z jakiegoś bankietu w nocy, albo nad ranem.
- Ale to jest niemożliwe, droga pani!
- Co jest niemożliwe? Widziałam ją, jak pana tu widzę! To było pół do czwartej!
- Twierdzi pani, że znaleziona kobieta to pani Meyer?
- Na pewno.
- Wobec tego nie mogła jej pani widzieć wchodzącej do domu o tej godzinie! O tej godzinie pani Meyer nie żyła przynajmniej od godziny!
- Ale ja przysięgam, że ją widziałam, jak szła po ogrodzie! Było pół do czwartej!
- Ależ droga pani! Tłumaczę pani, że to niemożliwe. Ona o tej godzinie już nie żyła!
- Matko Boska! Chce pan powiedzieć, że widziałam ducha pani Elizy?!

Rozdz.3. Opłakane skutki zmiany planów weekendowych

Było wczesne poniedziałkowe popołudnie. Komenda była pusta, bo wciąż trwał długi weekend. Tylko Gawenda tkwił na swoim miejscu. Siedział w pozycji niedbalej,

trzymając nogi na biurku, a słuchawkę telefonu stacjonarnego przy uchu. Jak to się popularnie mówi: „wisiał” na telefonie.

– Frank, co tak długo? Przecież mieliśmy pojechać do Meyera. Są już wyniki sekcji? Tak tylko pytam. Powiedzieli ci, żebyś się przeniósł do FBI? Dowcipni. Naoglądali się amerykańskich kryminalów. W tym kraju nawet w prosektorium są kolejki. Tak, obiecali mi, że się postarają. Nie, nie wysłałem cię na daremno. Twoja wizyta była jak najbardziej potrzebna. Wiesz dobrze, że gdybym cię tam nie wysłał, to palcem nie ruszyliby do czwartku. Zamknięte? Z kim ty rozmawiałeś? Ja też z dyżurnym. Wyniki będą najwcześniej w czwartek? Powiedz dyżurnemu, żeby się pogonił! Co za palanta dali na ten dyżur! Dobra, pogadam z nimi jutro, jak ich szef wróci do pracy. Wyniki musimy mieć na jutro. Tak, to jest jak najbardziej możliwe. Słuchaj, jedź od razu na miejsce, pod dom Meyera. Powiesz się trochę po okolicy, ale dyskretnie. Wiem, że wiesz. Tak tylko mówię. Zajrzyj do tego drugiego sąsiada. Wczoraj tam nikogo nie było. Spotkamy się o trzeciej. Wejdziemy razem.

Inspektor przyjechał wcześniej i zaparkował niedaleko hondy Frankowskiego. Stała przecnicę dalej od domu Meyerów, żeby nie rzucać się w oczy. Dobrze. Chłopak jest inteligentny i szybko się uczy. Mało błędów popełnia. Będzie z niego dobry glina. Ma pewne wady – jest zbyt samodzielny, ma własne zdanie i chciałby od razu wpakować przestępcę za kratki. A może to nie są wady?

Popołudnie było słoneczne i ciepłe. Ulice były ciche i puste nie tylko z powodu weekendu. Takie dzielnice bywają ciche i spokojne o każdej porze dnia i roku. I jak wszędzie mieszkają tu sąsiadki, które wszystko wiedziały o wszystkich. Dobrze poinformowane sąsiadki bywają bardzo przydatne dla policji. Chociaż bywają również kłopotliwe. Dzięki nim na pewno wszyscy już wiedzą, że wczoraj u Meyerów popełniono morderstwo. Dla poczty pantoflowej nie ma kompletnie znaczenia, że policja dopiero bada, czy był to wypadek, czy zabójstwo.

Frankowskiego nie było w samochodzie, ale inspektor nie szukał go. Spokojnie czekał, aż jego asystent sam się znajdzie. Po kwadransie zobaczył go, jak idzie ulicą. Wcale nie wyglądał na policjanta. Bardzo dobrze. Idący bezbłędnie wyłowił wzrokiem wśród innych parkujących samochodów Gawendy i wsiadł do niego.

– Długo szef czeka?

– Nie, jesteś ciągle w czasie. Byłeś u tych drugich sąsiadów?

– Nie, tam nikogo nie ma. Wyjechali na długi weekend. Za to poszedłem do tych z naprzeciwka.